

# COŚ we mgle, brrr...

Nocą nad malowniczą, pełną jezior okolicą w stanie Maine, miejscu zamieszkania Davida Draytona z żoną i synkiem, przechodzi potężna nawałnica. W świetle dziennym mieszkańcy klnąc i pomstując podliczają szkody. A potem jadą uzupełnić zapasy w najbliższym supermarkecie w pobliskim miasteczku. Wszyscy narzekają na anomalia pogody. Kto wie, czym to się skończy?

Wzmógłony ruch w tym samym czasie w bazie militarnej pod miasteczkiem wzbudza wprawdzie niejakie zainteresowanie, ale to przecież w sumie nic szczególnego, burza wyrwała drzewa z korzeniami, wybijała okna, niszczyła zabudowania, żołnierze i policja są w stanie podwyższonej gotowości, jeżdżą i sprzątają...

W sklepie tłumy. Część z nich zdąży zrobić zakupy i rozjechać się w swoje strony. Część dostrzeże coś, co każe im zostać na miejscu: powoli pokrywającą miasto dziwnie gęstą mgłę. Tę samą, którą rano David i jego żona zauważyli u siebie nad jeziorem i już wtedy wydała im się dziwna. Z mgły wybiega pokrąwiony mężczyzna, dopada sklepu, ze strachem w oczach krzyczy: „Coś jest we mgle! Something in the mist! Zamknąć drzwi! Shut the doors!”

Chwilę wcześniej syreny wyły na alarm. Chwilę potem sklepem wstrząsają jakieś potężne bliżej nieidentyfikowalne siły. Zanim jeszcze gęsta jak śmietana mgła nie otuliła ogromnych okien supermarketu, wysiadły telefony, zamilkły komórki. Ludzi ogarnia przerażenie. Coś jest nie tak!!!

Taka jest sytuacja wyjściowa filmu „The Mist”, „Mgła” w reżyserii Franka Darabonta. Grupa ludzi w zamkniętym pomieszczeniu odcięta od świata. Rosnący stan zagrożenia. I poczucie bezradności. Brak informacji z zewnątrz. Narastające napięcie wewnątrz. Jak w takiej sytuacji zachowują się ludzie? Najprzeróżniej, jak to ludzie. Tylko jedno ich łączy. Każdy, bez wyjątku, odwołuje się do swojego rozumu, żeby: 1. zrozumieć sytuację; 2. wyjść z niej cało.

<https://www.youtube.com/watch?v=4arcrQNEp6A>

Jeżeli zbiór przypadkowo ze sobą zebranych ludzi jest wystarczająco duży, to będziemy mieć mniej czy bardziej trafiony przekrój całego społeczeństwa. Tak właśnie jest w naszym supermarkecie. Mamy tu sceptyków i realistów, wolnomyśliciela i new-age-owca, wiernych (kościółom), i niewierzących (nikomu), mądrą nauczycielkę młodą i jeszcze mądrzejszą, bo z racji wieku bardziej doświadczoną, nauczycielkę starą, mamy kilku żołnierzy... Mamy kierownika sklepu, obsługę techniczną sklepu, kasjerki...

Zagrożenie zatrzymało w sklepie także Davida z synem... Oraz ich sąsiada, zabrał się z nimi do miasta, bo jego samochód przygniótł wyrwany przez burzę konar. Jediną osobą, która — jako ostatnia — mimo niebezpieczeństwa czającego się na zewnątrz, opuściła sklep, była matka małych dzieci, obiecała dzieciom, że wyskoczy do sklepu i zaraz wróci, nie mogła nie dotrzymać słowa, zostawić ich na pastwę losu. Nikt nie zdecydował się wesprzeć jej swoim towarzystwem. Wyszła we mgłę sama.

W zamkniętej w kapsule supermarketu grupie jest też Mrs. Carmody. Będzie miała swoje pięć minut. Bo i ona odwoła się do swojego rozumu. A ten, zainfekowany wiarą w grzechy, sąd ostateczny, karę boską i inne rewelacje jeden do jednego wyprowadzone z Pisma Świętego starożytnych proroków tak chętnie straszących najgorszym współczesnych im maluczkich, każe jej ogłosić apokalipsę.

Najpierw ma mało posłuchu. Ale w miarę, gdy zagrożenie staje się coraz bardziej namacalne, gdy kilka osób traci życie, bo we mgle rzeczywiście jest coś, co zabija, duża część grupy przyłącza do niej i już żaden głos rozsądku nie ma do nich dostępu. Konflikt eskaluje. Modły przeradzają się w chęć mordy. Nawoływania do ukorzenia się w obliczu boskiego gniewu kulminują w ataku na znacznie mniejszą grupkę nie ulegającą rozfanatyzowanej wariatce. Teraz tym, którzy nie wierzą w sprowadzony na ludzi z woli boskiej koniec świata, niebezpieczeństwo grozi zarówno od zewnątrz, jak i od wewnątrz.

David, główny bohater filmu, należy do mniejszości, rozsądniejszej, ale liczebnie słabszej. Od jego postawy zależeć będzie życie innych. Tylko że zwykłe życie w spokojnych małomiasteczkowych klimatach zwykle nie przygotowuje człowieka do tak nieoczekiwanego zadania. Do bycia bohaterem w prawdziwym życiu. To ludzie z przygodowych powieści. To rewolwerowiec Roland z „Mrocznej wieży” Stephena Kinga, którego portret David, z zawodu malarz-artysta, ilustrator okładek książek, kończy właśnie, gdy nad miasto nadciąga burza.

Obraz, pilne zamówienie, ulega zniszczeniu, bo wichura wybija okno pracowni i deszcz zalewa dzieła (wśród nich miga słynny plakat kultowego dziś filmu „Coś”, „The Thing”, Johna Carpentera, David pewnie należy do miłośników dobrego horroru?). Rewolwerowiec Roland już na samym początku filmu ląduje na kupie połamanych burzą gałęzi, zwichrowane ramy i zmoczone płótno nie nadają się do niczego. Nie minie dwie doby i rewolwerowcem przyjdzie zostać samemu Davidowi. Jak wywiąże się z tego zadania?

Gdyby film nakręcił mistrz straszenia, stary Hitchcock, odwoływałby się zapewne bardziej do wyobraźni widza, niż do efektów specjalnych. COŚ we mgle pozostałoby niewidoczne i tylko groza śmiercionośnej wacianej bieli wyprawiającej okropności poza wzrokiem widza wbijałaby go w fotel. Ale że film nakręcił rzemieślnik — sprawny i znający swój zawód rzemieślnik, dodajmy — a obraz przeznaczony jest dla tak zwanej szerokiej publiczności, mamy tu do czynienia z wersją bardziej dosłowną. Mgła roi się od potworków i potworów.

Frank Darabont zmiksował różne stwory z gotowej konfekcji gatunku. Wzięte z półki z asortymentem od filmów grozy raz przypominają co pomniejsze dinozaurki z „Parku Jurajskiego” Spielberga, innym razem są echem z „Obcego” Ridleya Scotta, jeszcze innym mają coś z „Cosia” Johna Carpentera...

Jeśli wyskakują zniecierpliwienie, można się porządnie przestraszyć, jeśli harczą po ekranie jakiś czas, widać ich techniczne niedociągnięcia i różne niekonsekwencje. Ale mniejsza o nie (choć filmu zdecydowanie nie polecam cierpiącym na arachnofobię). O wiele ważniejsze jest to, co rozgrywa się na ekranie między ludźmi.

Jesteśmy bowiem świadkami, jak to pani Carmody, znana w miasteczku jako niezbyt sympatyczna, ale nieszkodliwa dewotka, zaczyna rządzić. I jak ludzie zaczynają jej kasandrycznym nawoływaniom ulegać. Pani Carmody długo nie porządzi, ale jej działanie będzie miało znamienne w skutki konsekwencje.

Twórcom filmu udało się naprawdę przekonująco pokazać, jak wygląda psychologia tłumu w pigułce. Marcia Gay Harden jako Mrs. Carmody jest bez wątpienia największym atutem aktorskim filmu (Oscar 2000 za drugoplanową rolę w filmie „Pollock”, nominacja do Oscara w roku 2004 za „Rzekę tajemnic”), i jest najbardziej wychwalana (w „The Mist” nominacja za rolę drugoplanową przez amerykańską Academy of Science Fiction, Fantasy & Horror Films).

Thomas Jane jako David Drayton spotkał się z kolei z największą krytyką, ale ja uważam, że wypadł wcale dobrze. To nie miał być ani Indiana Jones, ani James Bond. To komercyjny artysta wpisujący się w gusta i mentalność społeczeństwa, w którym żyje. No, może troszkę ponad. I nagle musi zostać bohaterem z przypadku. Jest trochę sztywny, trochę nieporadny. Zwykły mieszkaniec wschodniego wybrzeża Ameryki Północnej „wydanie prowincjonalne”, żaden mistrz malarstwa, coś jak „The Castle Rock Times”, gazeta, którą czytuje, w porównaniu z „New York Timesem”. Dobry artysta-rzemieślnik.

Stephen King, autor opowiadania „Mgła”, wg którego powstał film, rzeczywiście mieszkaniec stanu Maine (urodził się w stolicy stanu, porcie Portland), właśnie na prowincji lubi umieszczać akcje swoich książek — fikcyjne miasteczko Castle Rock, „gdzieś na prowincji”, należy do takich ulubionych miejsc Kinga, reżyser Darabont puszcza tą gazetą oko do wielbicieli talentu „Króla Horroru”, choć tym razem rzecz dzieje się w rzeczywistym niespełna pięciotysięcznym miasteczku Bridgton.

Sam Stephen King, „najbogatszy pisarz świata”, półtora miliarda dolarów majątku, 400 milionów wydanych egzemplarzy w ponad 40 językach świata, także uważa się za rzemieślnika, co przypieczętowało powieścią

autobiograficzną „On Writing. A Memoir of the Craft”, „Jak pisać. Pamiętnik rzemieślnika” (2000).

<http://www.youtube.com/watch?v=ic7JnF4vStA>

Tak więc mamy w filmie „Mgła” solidny produkt przemysłu filmowego z warsztatu solidnych rzemieślników. Również główny bohater filmu, David, to malarz-rzemieślnik, jego obrazy to produkcja komercyjna stworzona pod zwyczajny nie nazbyt wybredny gust. W tym kontekście wybór Thomasa Jane’a uważam za trafiony. Frank Darabont (urodzony we Francji w 1959 roku amerykański reżyser pochodzenia węgierskiego) ma już na swoim koncie wybitne ekranizacje powieści Kinga, „Skazanych na Shawshank” (1994) i „Zieloną Miłą” (1999), obie nominowane do Oscara, myślę więc, że można zaufać jego wyborowi w kwestii obsady.

Toby Jones, świetny jako „prosty pracownik supermarketu”, magazynier Ollie Weeks, który okazuje się być i rozsądnym człowiekiem, i wyborowym strzelcem, ma w swoim dorobku udział w takich filmach jak „Marzyciel” (2004) czy „Elżbieta I” (2005). A William Sadler, aktor Darabonta już w obu poprzednich ekranizacjach Kinga, jako zawzięty niedowiarek stający się jeszcze bardziej zawziętym religiantem, stworzył w filmie, moim zdaniem, kreację aktorską porównywalną z Marcią Gay Harden, nawet jeśli mniejszą objętościowo.

Również obie panie nauczycielki — w młodszą wcieliła się Laurie Holden, aktorka z solidnym wykształceniem w swoim zawodzie (ukończyła z wyróżnieniem aktorstwo teatralne na Uniwersytecie Kalifornijskim), w starszą — Frances Stenhausen (grała żonę szeryfa w „Misery” wg Kinga) przykuwają uwagę widza. Najmłodszy z bohaterów, ośmioletni Billy jest także godny uwagi. W tę rolę wcielił się Nathan Gamble (nominacja do Young Artist Awards).

Horror, nawet najlepszy, to nie jest gatunek filmu, który zajmowałby się na poważnie poruszaniem problemów społecznych. Ponieważ jednak krytycy zauważają w „Mgle” różne drugie dna i dodatkowe głębie, przyjrę im się i ja po trosze. Tym bardziej, że rozrzut jest zastanawiający. Jedni dopatrują się w filmie wymowy antyreligijnej, inni, wręcz przeciwnie, pochwały wiary, oczywiście nie w scenach agresji fanatycznie wierzących, ale w zakończeniu całej historii.

Widz niewierzący w scenach z panią Carmody dopatry się chętnie potępienia religii w ogóle. Zwolennik zasad Kościoła z kolei zwraca uwagę na zupełnie inny aspekt, rzekomy sprzeciw autorów filmu wobec aborcji i eutanazji. Również nauce porządnie się oberwało, bo czyż nauce wolno bez opamiętania eksperymentować? Wszystkie te interpretacje „Mgły” uważam za mocno przesadzone.

Gdyby w supermarkecie zamiast religijnej wariatki znalazł się cieszący się autorytetem miasteczka mądry a stanowczy pastor, uwięzienie w sklepie wyglądałoby zapewne inaczej. Ludzie by się zabarykadowali, jedni by się modlili, inni nie, i tak czekali by wybawienia. I nie byłoby o czym pisać. Nie byłoby książki, nie byłoby filmu.

David wprawdzie jest bohaterem głównym tej historii, ale pani Carmody to oś całej akcji. King wprowadza ją z powodów dramaturgicznych, a nie dlatego, żeby krytykować religię. Fanatyzm religijny, podobnie zresztą jak w „Carrie”, pamiętnej pierwszej ekranizacji opowieści Kinga, która uczyniła jej autora tak słynnym, jest mu potrzebny, żeby było na czym budować napięcie. Tyle.

Wśród wierzących jest też coś takiego, jak gradacja świadomościowo-intelektualna, podobnie jak wśród niewierzących. Ale akurat Stephen King deklaruje wiarę w Boga. Czy na poziomie pani Carmody?

Jeszcze bardziej naciąganie brzmi opinia recenzenta filmu z portalu koscioł.pl: „Nie spotkałem jeszcze w Hollywood tak ostrej krytyki eutanazji”. Szanowny Panie Recenzencie, tym razem też jej Pan nie spotkał! Bo jej tam nie ma. Nie ma jej w tym znaczeniu, w jakim zwolennicy eutanazji domagają się prawa do niej. Przypomnijmy, eutanazja znaczy „dobra śmierć”, per definitionem, jest to „zadanie śmierci osobie nieuleczalnie chorej umotywowane skróceniem jej cierpień”.

Ani jedna ze śmierci w filmie „The Mist” nie była „dobrą śmiercią”, nie było więc też mowy o żadnym sprzeciwie. Lub na odwrót: każda ze śmierci w filmie „The Mist” była po to, żeby widz miał to, za co zapłacił, rozrywkę. Jakby to nie brzmiało w kontekście „trup ściele się gęsto”, powtórzę raz jeszcze: roz-ryw-kę! (No, dobrze, a może chociaż ten epizod z ciężko poparżonym żołnierzem? Otóż też nie! To też było w celu zapewnienia widzowi odpowiedniej dawki napięcia. Żeby wyszedł z kina zadowolony.)

Dopatrywanie się sprzeciwu wobec aborcji i eutanazji w zwykłym filmie grozy to demagogia, wmawianie ludziom czegoś w ramach propagandy własnej ideologii, to ideologiczne przekłamanie. Gdyby nie to, że jest straszno, byłoby śmieszno, bo przypomina kawał o tym, co to mu się wszystko kojarzy z chusteczką. Ale nie jest ani trochę śmieszno.

Bo, rzeczywiście, jeśli podumać głębiej nad treścią filmu, robi się straszno. Wyobraźmy sobie, że nagle przydarza się nam coś takiego naprawdę. Jak David Drayton z malowania rewolwerowca fikcyjnego wpada w sytuację „naprawdę”, tak my z fikcji w filmie zrobimy krok w kierunku rzeczywistego — naprawdę.

Dlaczegoż to „tłum” tak łatwo daje się opanować przez nawiedzonych wariatów? Przecież każdy ma swój rozum, ma swój kodeks etyczny, ma swój wysoce osławiony „system wartości chrześcijańskich”, na który tak chętnie się powołuje i którego z takim zacietrzewieniem broni. Dlaczego więc w sprzyjających warunkach nagle nie ma zahamowań i jest w stanie zabić swoich własnych sąsiadów (...„Sąsiadów”)? Dlaczego nagle cały ten „system wartości chrześcijańskich” rozsypuje się w proch?

Czy nasz kodeks postępowania chroni nas przed zbrodnią? Czy nasz kodeks postępowania w ogóle jest \_naszym\_ kodeksem postępowania? Czy „system wartości chrześcijańskich” jest naszym wewnętrznym systemem, czy tylko naskórkowym, łatwowymywalnym, powierzchownie nabytym? Ba, narzuconym? Który zawodzi, gdy tylko dochodzi do prawdziwej konfrontacji? Czy w ogóle mamy spójny ogląd świata a w nim spójny, przemyślany, świadomy system wartości? Na którym rzeczywiście można polegać? W sytuacji podbramkowej, a nie wtedy, gdy i tak policja stoi nam nad głowami?

Internauta Bartek Świąder w swojej recenzji „Mgły” podsumowuje: „No i kurczę, żal mi było Toby’ego Jonesa jak go zjadła ta krzyżówka Wojny światów ze Starship Troopers.” No, właśnie, bohater zagrany przez Tobiego Jonesa, magazynier Ollie, ani nie najważniejszy ani bynajmniej najprzystojniejszy spośród uwięzionych w sklepie, zasługuje bodaj na najwięcej uwagi i, jak widać, najwięcej sympatii. A dlaczego? Bo jego kodeks postępowania jest jego wewnętrznym kodeksem postępowania, wintegrowanym w kręgosłup i sprawdzającym się bez względu na zewnętrzną kontrolę.

I jak już internauta BŚ zahaczył o „Starship Troopers”: Robert A. Heinlein, autor powieści, wg której nagrano film (po polsku powieść nosi tytuł „Kawaleria kosmosu”) w innym swoim dziele, „Stranger in a Strange Land”, „Obcy w obcym kraju”, wprowadził pojęcie „to grok”.

„To grok” oznacza zrozumieć coś dokładnie na wszystkich poziomach, duchowo, intelektualnie, cieleśnie i psychicznie. „To grok” oznacza „to be one with”, „być jednością z”, zjednoczyć się z czymś, co widzieliśmy z zewnątrz, cośmy obserwowali, „złać się w jedno”, wchłonać, mieć w trzewiach, w szpiku kości, w samym rdzeniu kręgosłupa. Niemcy mają na to podobne określenie „verinnerlichen”, „uwewnętrznić”, czyli, metaforycznie, wprowadzić w swój krwiobieg. Wtedy można mówić o autentyczności (tu: systemu wartości).

Taki jest Ollie (i inni) w grupie Davida. Mrs. Carmody i jej historycznie rozmodlona żadna krwi grupa to jak to COŚ we mgle, monstra, które, gdy tylko je uwolnić, szaleją.